

REDAKCJA
EWA KLIMEK

Korekta
JUSTYNA ARTYM

Projekt okładki i skład
WŁODZIMIERZ CHOŁOSTIAKOW

Druk i oprawa
PRINT GROUP SP. Z O.O.

© COPYRIGHT BY LAMBERT KRÓL

ISBN 978-83-956747-7-8

wydawnictwo SEQOJA
Żołnierska 11 B/20, 10-558 Olsztyn
tel. 534 834 852
e-mail: info@seqojawydawnictwo.pl
www.seqojawydawnictwo.pl

OLSZTYN 2020
WYDANIE I

Agnieszce
bez niej ta książka by nie powstała

199 franków

Mówili ci, że przyjaźni nie kupisz za żadne pieniądze. Ale ty właśnie patrzysz na ekran z potwierdzeniem zamówienia. Klik, bezpłatny okres próbny do trzech dni, potem 199 franków za dzień. Czekasz dobie i do drzwi dzwoni on. Albo ona. Może mieć na imię Stefan, może też Heidi. Zamówienie pozwala na pełną personalizację życzeń klienta. Zakres usług bardzo prosty. Szwajcarski przyjaciel lub przyjaciółka od zaraz. Informacja napisana czerwonymi literami na potwierdzeniu zamówienia: „NIE JESTEŚMY POŚREDNICTWEM USŁUG SEKSUALNYCH”. Przyjaciel lub przyjaciółka na dobre i na złe. Pierwszego dnia zostajecie w domu. Jecie raclette, popijacie je kilkoma kieliszkami białego wina z francuskiej części Szwajcarii. Ale z umiarem. Stefan lub Heidi chwala twoją kanapę z IKEA, mały stół, dwa krzesła i plakat z lamą.

Następnego dnia jedziecie w góry. Świeci słońce, Stefan lub Heidi pokażą ci swoje ulubione miejsca. Takie, których nie znajdziesz nawet w najbardziej wymyślnych przewodnikach. Stefan proponuje wycieczkę do whisky baru, w którym mieszczą się jedynie dwie osoby. „Tak, mamy w Szwajcarii taki bar!”, potwierdza z entuzjazmem, gdy zauważa twoje niedowierzanie. Bar jest malutki. Siedzicie i rozmawiacie. Pytasz Stefana o to, skąd pochodzi, gdzie pracuje. Nie pytasz o pensję. Po złożeniu zamówienia dostałeś małą instrukcję w pliku PDF, która wyjaśniała, co wolno i czego nie wolno robić. Whisky jest mocna, ty jesteś już lekko pijany. Stefan proponuje, że odwiedzie cię do domu. Jedziecie około dwóch godzin, a ty nie możesz napatrzeć się na widoki, które do tej pory znałeś z pocztówek. Alkohol rozplątuje ci język i pytasz Stefana, czy Szwajcarzy są tak nieprzyjaźni, jak się o nich powszechnie mówi. Przynajmniej mówił Holender, od którego odbierałeś szafę kupioną za trzydzieści franków. Szafa była ciężka, rozciąłeś sobie gwoździem rękę, a on stał i narzekał, jak ciężko jest zaprzyjaźnić się ze Szwajcarami oraz że życie tu go uwiera. W związku z czym on wraca do Lejdy. Mówił to na tarasie swojego apartamentu, gdy od strony Jeziora Zuryskiego dochodził przyjemny letni wiatr. Plama krwi do tej pory widoczna jest na tylnej części szafy.

Patrzysz na Stefana i nie możesz sobie przypomnieć, czy właśnie złamałeś regulamin wypożyczalni. On początkowo nie reaguje, ale w końcu mięknie, odpowiadając pytaniem na

pytanie. „A czy Polacy szybko zaprzyjaźniają się z obcokrajowcami?” W pierwszej chwili myślisz o polskiej gościnności, chlebie i soli, witaniu obcych z otwartymi rękami, i już rwie ci się na język potok pochlebnych słów. Potem przypominasz sobie o studencie programu Erasmus, czarnoskórym Diego z Hiszpanii, któremu na drugi dzień pobytu w Polsce wybito zęby na dworcu w Katowicach. Odpowiadasz, że nie wszyscy, ale większość tak. Temat ucicha, a ty zasypiasz. Budzisz się następnego dnia w swoim łóżku, przy którym stoi świeża butelka wody mineralnej. Wypijasz łączywie i idziesz wziąć prysznic.

Kolejne dwa dni mijają błyskawicznie. Jedziecie na przełęcz Furka, jecie cordon bleu z frytkami w ulubionej restauracji Stefana, pijecie piwo od jego kumpla, z lokalnego browaru w Davos. Nie pytasz już o gościnność Szwajcarów, robicie swoje, aż do północy dnia trzeciego. Następnego dnia przychodzi SMS z zapytaniem o potwierdzenie przedłużenia abonamentu. Wahasz się, bo to 199 franków, dołożysz pięćdziesiąt i masz konsolę PlayStation, dołożysz dwa razy tyle, masz iPhone’a. Może wystarczy już tej przyjaźni na jakiś czas. Ale nagle słyszysz dzwonek do drzwi. To Stefan. Pyta, czy jesteś gotowy, a ty nie potrafisz mu odpowiedzieć. Zawsze byłeś kiepski w odmawianiu. Stefan widzi, jak wyciągasz z portfela 199 franków, uśmiecha się, każe ci schować z powrotem. „Dziś jestem tu prywatnie”, mówi.

Kilka godzin później stoicie na szczycie Grosser Mythen, jednej z ulubionych gór Stefana w kantonie Schwyz. Wahasz się, ale wiesz, że reguły wypożyczalni już cię nie obowiązują, więc pytasz. „Co byś zrobił, gdybyś był ostatnim Szwajcarem na Ziemi?” Stefan bez wahania odpowiada. „Zjadłbym fondue, wypił lampkę dobrego wina i patrzył na Alpy. Aż do końca świata”.

Miś z Krupówek

Koniec grudnia w Meiringen był wyjątkowo ciepły. Siedział na mokrej od stopniałego śniegu ławce, patrząc tępym wzrokiem przed siebie. Strój imitujący niedźwiedzie futro, który miał na sobie, zwilgotniał i wydierał bardziej intensywną niż zwykle woń. Obok leżała potężna niedźwiedzia głowa, która kontrastowała z jego własną aparycją, wychudzoną twarzą ozdobioną wątlm wąsikiem i pryszczami. Od prawie miesiąca bezskutecznie próbował znaleźć pracę albo jakiegokolwiek płatne dorywcze zajęcie. Szwajcarzy oczekiwali konkretnego fachu w ręku, najlepiej udokumentowanego odpowiednim wykształceniem. No i znajomości języka. A czym on mógł się wykazać? W liście motywacyjnym pisał „atrakcja turystyczna” i w istocie nią był. Misiem z zakopiańskich Krupówek. Maskotką zachęcającą turystów do zrobienia zdjęcia za parę złotych. Tych drobnych oczywiście każdemu było żal, więc robili mu zdjęcia ukradkiem. Tylko pojedyncze osoby decydowały się uczciwie zapłacić. Utarg dzienny był marny, a nieznośną lekkość bytu poprawiała jedynie mała małpka z rana, najbardziej lubił wiśniowe. I kilka małpek, może nawet coś więcej, z wieczora.

Mieszkańcy tej położonej w alpejskiej dolinie Haslital wioski kończyli przygotowania do corocznego obrzędu Ubersitz. Był tu krótko, ale zdążył dowiedzieć się o sięgających czasów pogańskich zwyczajach. O ponurym pochodzie złożonym z samych mężczyzn ubranych w maski potworów i wiedźm*. Przepędzających złe duchy. Nie pamiętał, jak tu trafił. Z Zakopanego wyjechał autostopem. W stroju misia, prosto z ulicy, na której próbował sprzedawać nieszczerze uśmiechy tłustym jak pączki tatusiom i wymalowanym mamusiom, byle tylko ich przekonać do otwarcia portfela, w którym z reguły grosików było pełno. Jeden rzucony w jego stronę różnicy im nie robił. A jemu ogromną. Minęła piętnasta, powoli zapadał zmrok. Pochód ruszył. Na czele szła postać przebrana za starą, pomarszczoną kobietę,

niosącą w ogromnym koszu kukłę mężczyzny. Za nim kolejnych pięć, ubranych na czarno. Te trzymały już przewieszone przez ramię werble i miarowo, powoli, wybijały rytm. To oni stanowili trzon pochodu, na który składało się ponad dwieście osób. Za nim szli kolejni, w tradycyjnych strojach ludowych, z dużymi krowimi dzwonkami. Nigdy nie grał na werblu. Jego instrumentem był kiedyś kawałek dykty z napisem „TANIE OBIADY”. Muzykę zastępowało nawoływanie: „Tanie góralskie obiady, zapraszaaaaam”, którym namawiał do stołowania się w barze swojego ówczesnego pracodawcy. Uniform kucharczyka i biała czapka. Regularnie się przy tym z niego nabijano, próbowano zabierać tablicę reklamową. Raz kilku kolesi go pobiło, na oczach turystów, w szczycie sezonu. W porównaniu z tym, co tam przeżywał, późniejsza zmiana pracy na Misia z Krupówek była awansem społecznym.

Pochód powoli zaczął zbliżać się w okolice jego ławki. Rytm wybijany na kilkudziesięciu werblach stawał się coraz bardziej natarczywy. Wokół pochodu zgromadzili się ludzie, tutejsi i przyjezdni. Pośród nich dostrzegł ogromnego, ubranego na białą ptaka z kozimi rogami. Przed ptakiem próbowały kryć się dzieci, z kolei on zachodził je od tyłu i długim dziobem ściągał im z głów czapki.

– Raz, dwa, trzy, Schnabelgeiss patrzy – usłyszał obok siebie głos. To był ten sam ptak, który chwilę wcześniej był częścią maszerującego pochodu.

– Nie boisz się, prawda? Nie masz powodu. Przecież od kilku godzin już nie żyjesz. Ale ty to już i tak wiesz – ptak spojrzał na Misia, a ten przytaknął.

– Zawał serca. Szybko poszło. Choć pierwotnie myślałem o jakiejś bardziej spektakularnej formie śmierci. Piękne góry tu macie, skok w przepaść byłby czymś naprawdę wyjątkowym.

Ptak wskazał dziobem na jedno z położonych na zachód zboczy.

– Najlepiej chyba tam, przy wodospadzie, który opisywał Arthur Conan Doyle. Miejsce domniemanej śmierci Sherlocka Holmesa. Na górę wjeżdżasz kolejką, potem kilkanaście minut pod górę i już jesteś w dogodnym miejscu do skoku. Potem lot w dół, czaszka roztrzaskana o leżące u podnóża wodospadu skały, krew, krzyki turystów. Problem w tym, że to już jest wodospad Sherlocka Holmesa. Twoim imieniem raczej go nie nazwą. – Ptak skończył, a Miś spojrzał na niego smutno.

– Ja już nawet nie pamiętam, jak mam na imię.

Ptak spojrzał na Misia i wskazał leżącą na ławce czarną płachtę oraz głowę ptaka z wielkim dziobem – podobną do tej, jaką nosił on sam.

– Załóż to i odrzuć swoje zmartwienia – rzekł. – Od dziś jesteś jednym z nas.

* Doroczna tradycja Ubersitz, rozpowszechniona w regionie Haslital, sięgająca czasów celtyckich, ma na celu przepędzanie złych duchów. W pochodzie Trychlerów uczestniczy niemal 200 osób, wyłącznie chłopców i mężczyzn. Zakładają maski potworów, czarownic i demonów. Każdy z nich musi mieć instrument – werble, krowie dzwony i terkotki. Pochodowi towarzyszy ubrany na białą Schnabelgeiss – potężny ptak z rogami kozła, który straszy dzieci i próbuje zabierać im czapki swoim długim dziobem.

Cuisine suisse

Obserwuję ją od około dwudziestu minut. Starsza pani, krótko przycięte włosy, odwieczny przebój szwajcarskiego fryzjerstwa emerytalnego. Zamawia karafkę wody z kranu i kieliszek prosecco. Potem sałatkę, właściwie liście sałaty zalane sosem. I główne danie: raclette, ziemniaczki, ogórki octowe. Ogórki! Biorę je na cel. To prosta robota, ale wymaga cierpliwości. Nie trzeba być agentem 007, ale należy być uzbrojonym w cierpliwość

i zachować zimną krew w razie wpadki. Emerytka nie jest sama, towarzyszy jej mąż. Do picia zamówił „stange”, małe piwo. Cordon bleu, kotlet z serem i szynką w środku, kolejny szwajcarski klasyk, oraz frytki. Oboje są wyraźnie zrelaksowani. To dobrze, nie będzie im się spieszyło. W Zurychu pośpiech jest w cenie, choć wieczorem tempo życia opada. Siedzimy w małej restauracji przyklejonej do jednej z uliczek odchodzących od placu Bellevue. Kilkanaście stolików. Dwóch kelnerów. Okienko do wydawania posiłków na widoku. Idealne warunki pracy.

Starsza pani dopija prosecco i oboje wychodzą na papierosa. Kelner jest wyraźnie poirytowany. Talerze już stoją gotowe w okienku, a oni akurat opuścili stół. Teraz pewnie wróci do kucharza. Na klientów narzeka się pod każdą szerokością geograficzną, Szwajcaria nie jest tu wyjątkiem. Wstaję, wolnym krokiem idę w kierunku toalety. Gdy przechodzę koło przygotowanych dla starszych państwa talerzy, dyskretnym gestem sięgam pod marynarkę i wyciągam małe pudełeczko. W środku tkwią najprawdziwsze polskie kiszzone ogórki. Ćwiczyłem to wiele razy, więc podmianka idzie szybko. Octowe na kiszzone. Malutka rzecz, nikt tego nawet nie zauważy. Nie znoszę ogórków octowych. Można powiedzieć, że wyświadczam tej emerytce przysługę. Gdy wracam z toalety, starsi państwo siedzą już przy stole, a przed nimi stoją zamówione dania. Siadam na swoim miejscu i dyskretnie ich obserwuję. On zajada się cordon blue i zachłannie wpycha do ust kolejne frytki. Ser z kotleta ścieka mu po brodzie i lepi się do włosów. Ona jest bardziej dystygowana. Na widelec nabiera roztopiony ser raclette, łączy z kartofelkiem. Potem sięga po ogóreczka. Gryzie i... widzę to w jej oczach. Waha się. Tak jakby wstydziła się tego uczucia, jednocześnie nie chcąc wyprzeć go ze świadomości. Lekko opuszcza głowę i zagryza wargi. Jej mąż, wyglądający jak bułeczka, jest nadal zajęty cordon blue i nie dostrzega tego, co się właśnie dzieje z jego żoną. Kiedy patrzę na nią, przypomina mi się scena z udawanym orgazmem w restauracji z tego filmu z Meg Ryan. Tu nie ma żadnego udawania. Mimo blisko siedemdziesięciu lat na karku starsza pani właśnie przeżywa swój prawdziwy pierwszy raz. Posyłam jej uśmiech, a ona czerwieni się i szybkim ruchem sięga po szklankę wody, wypijając wszystko naraz.

Znamy się głównie z darknetu. Grupa rebeliantów. Ludzi, którzy bez względu na nację, rasę, wyznanie, postanowili przekonywać Szwajcarów do swojej lokalnej kuchni i produktów. W dość osobliwy sposób, to prawda. Próbowaliście otworzyć tu biznes? Włochom jest łatwo – pizzę zje każdy. Podobnie amerykańskie burgery. Sieciówki nie narzekają na brak klientów. Kuchnie świata? Może tajska? W końcu szwajcarscy podstarzali bad boye przywożą tu hurtowo Tajki, a te na pewno nie wyżyją na smażonym serze i pieczonej masie z ziemniaków zwanej tu rösti. Cała reszta ma mocno utrudniony start. A to, że umiemy gotować i nasze produkty potrafią być lepsze od szwajcarskich, nie ulega wątpliwości. Walczymy więc swoją własną metodą. Najłatwiej idzie na gminnych festynach. Podmianka lokalnego bratwurstu na kiełbasę śląską to banał.

Tak łapiemy pierwszych, z początku nieświadomych klientów. Pierwsza porcja za darmo. Smakuje im. Chcą więcej. Tu wchodzi nasi importerzy i biznes się kręci. Miejsca na takie ustawki jest multum. Bary, restauracje, lokalne knajpy zwane Beiz. Bywa i trudniej, jak w przypadku tej emerytki, którą właśnie przekabaciłem na inną, niekoniecznie jasną stronę mocy. Ale dla wprawnych rąk nie jest to szczególnie trudne wyzwanie.

Patrzę na kolejny wesoły stół nieco w rogu restauracji. Drogie ciuchy, tavolata*, w końcu grupa sześciorga znajomych nie musi sobie żałować. Lecą kolejne zamówienia: tatar wołowy z porcją czarnych trufli, risotto szafranowe z krewetkami, sola z sosem szampańskim, tortellini z płynnym żółtkiem. Nie wygląda to na łatwy numer, ale ich wyczuwalna arogancja da mi pewną przewagę. Kelner przynosi wino. Za chwilę także zamówione dania. Wesoła gromada już ma zabierać się do jedzenia, gdy nagle jeden z nich, nieco puciołowaty, ale w dobrym, szytym na miarę garniturze, woła kelnera. Ten gest – to jest dokładnie to, na co czekałem. Zwiastuje malutką burzę, dysputę między kelnerem a klientem. I jeśli szósty zmysł

mnie nie myli, pójdzie o wino. Moje przewidywania sprawdzają się i przy stoliku wesołej gromady tworzy się małe zamieszanie. Wyciągam kolejne pudełeczko spod marynarki i próbuję podmienić tatara wołowego na tatara z pstrąga ojcowskiego, najlepszego pstrąga, jakiego moglibyście zjeść. W tym momencie za rękę chwytam mnie manager restauracji i mała afera wokół potencjalnie korkowego wina przenosi się na moją osobę. Staram się zachować spokój, ale manager jest wyraźnie pobudzony, chwytam mnie za poły marynarki i wyprowadza przed restaurację. Tu jestem, przynajmniej na jakiś czas, spalony.

Wieczór jest ciepły. W okolicach Bellevue gromadzą się ludzie w różnym wieku. Część z nich uda się na imprezowy spacer wzdłuż Jeziora Zuryskiego, część wyląduje w okolicznych knajpach. Stoję w pobliżu restauracji, z której mnie wyrzucono. To był dobry dzień. Tamta emerytka z pewnością wróci po więcej ogórków kiszonych, a przynajmniej nigdy więcej nie sięgnie po octowe. Z wesołą gromadą też poszło całkiem nieźle. W chwili, gdy porywczy manager wyrzucał mnie za drzwi, a goście próbowali otrząsnąć się z szoku, mój kumpel, Sasza, zrobił swoje. Na miejsce tortellini podrzucił pyszne, tłuste pielmeni. Z najlepszym farszem, jaki mateczka Rossija widziała. Zawsze warto mieć partnera przy działaniach dywersyjnych. Drzwi restauracji otwierają się. To Sasza. Podchodzi do mnie, zapala papierosa. Częstuję go chrupiącym plackiem ziemniaczanym według przepisu mojej babci. Gryzie, uśmiecha się. Mówi, że to najlepsze, jakie jadł. Odwzajemniam mu uśmiech. Wiem, że jutro wróci po więcej.

* Tavolata: wszystkie przystawki z karty dzielone między gości.